

STANISŁAW BARABASZ.



NIEDŹWIEDŹ W TATRACH



LWOW, 1916.

NAKŁADEM AUTORA.

Odbito w drukarni „POLONIA”, pod zarządem Franciszka Skrabskiego.

42051

<http://rcin.org.pl>

PAŃSTWOWE
MUZEUM ZOOLOGICZNE

BIBLIOTEKA

Inw. Nr. K.2051.

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 2051



<http://rcin.org.pl>
1000000000344

STANISŁAW BARABASZ.



NIEDŹWIEDŹ W TATRACH



LWÓW, 1916.

NAKŁADEM AUTORA.

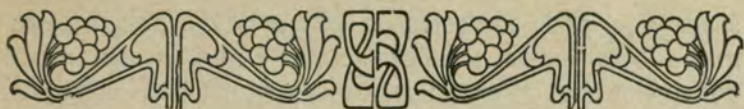
Odbito w drukarni „POLONIA“, pod zarządkiem Franciszka Skrabskiego.

H 42 M

PAŃSTWOWE
MUZEUM ZOOLOGICZNE

BIBLIOTEKA

Inw. Nr. 4.2051.



Tyle już o niedźwiedziu pisano w łamach „Łowca“, począwszy od prześlicznych opisów Kazimierza Wodzickiego, a skończywszy na przygodnych sprawozdaniach z poszczególnych polowań, że — zdaje się — materiał został już wyczerpany, że niema nic nowego do opowiedzenia, a wszelkie dalsze opisy są zbyteczne.

A jednak sędzę, że w łowiectwie, nie ograniczającem się do bezmyślnego strzelania zwierzyny, tyle jest sposobności do podpatrywania zwierza, robienia spostrzeżeń nad sposobem jego życia, zwyczajami, które w każdej prawie okolicy są odmienne, jak i odmiennym jest kąt widzenia każdego badacza — że każde, choćby drobne spostrzeżenie, powinno być podane do publicznej wiadomości, jako cegiełka składająca się na budowę całości.

Znając Tatry od lat trzydziestusiedmiu, interesowałem się jako myśliwy i przyrodnik-amator ich fauną — wypytywałem przewodników, pomiędzy którymi znalazło się sporo kłusowników, o stosunki łowieckie w górach. Ku temu nadawały się wybornie długie godziny spędzone nieraz bezsennie przy ognisku, podczas noclegów w kosówce lub w lesie. Wtedy góralom rozwiązywał się język.

W tych przygodnych hotelach różnie bywało: czasem

spalo się i pod parasolem, a gdy przyszła nagła ulewa, trzeba było nieraz w nocy uciekać i szukać schronienia pod jakim starym smrekiem, którego grube i gęste gałęzie, rosnąc prawie do ziemi, chroniły jako tako przed deszczem.

Różnych opowiadań nasłuchiwałem się wtedy. Niejeden chętny gadał, o bujnej wyobraźni, łąał jak najęty, drugi znów małomowny, nie chciał opowiadać o swoich wyprawach, pomimo zapewnień o dyskrecji z mej strony. Taki był pewny; nie chciał się chwalić i nikogo zdradzić, od takiego wiadomości były najcenniejsze.

Tesame wydarzenia słyshałem od rozmaitych strzelców, w różny opowiadane sposób. Od naocznych świadków, lub też uczestników słyshane, notowałem skrętnie.

Pamiętam, raz podczas takiego noclegu na jakiejś przełęczy w orawskich górach, gdy znużony słyshając opowiadań przewodnika, zacząłem drzemać przy dogasającym ognisku, wszczął się nagle pod nami w dolinie piekielny hałas, brzęk dzwonek, ryk bydła, beczenie owiec i gwałtowne ujadanie psów, a w to wszystko buchnął strzał.

Zerwałem się z pytaniem co to takiego? „Zje widno niedźwiedź w pod do kosaru“.

Za chwilę padł znowu strzał w drugiej dolinie, a potem w dalszej.

„To juhasi strzegom od niedźwiedzia“.

Na drugi dzień, gdyśmy szli graniami ku Rohaczom, mówił do mnie Wojtek: „Pozirojcież panie bez lurniętu ku sałasom, cy ta kany jakiego wołu nie drencom — nie wisi ka skóra na dahu?“

Ale nic nie było.

Z pierwszym widocznym śladem niedźwiedzia spotkałem się w Tomanowej, przyszedłem bowiem nazajutrz po jego wizycie.

W biały dzień wpadł między pasące się bydło, skoczył na rosłą jałówkę z tyłu i wbił jej pazury w boki.

Juhasi z bacą w czas spostrzegli co się dzieje, przybiegli z krzykiem, wywijając ciupagami i płonącymi „saj-tami“, psy się rzuciły ujadając wściekle i wspólnymi siłami odbito szczęśliwie jałówkę.

„Ale nie rod ją puściel“ mówili.

Jałówka miała rany na żebrach i formalne wzgórki zsiadłej krwi i ropy ciekącej po skórze.

Po św. Jakóbie niedźwiedź poczyna bić bydło i owce po halach, mawiają górale.

Jeden stary niedźwiedź, widocznie systematyk, urządzał to w pewnym porządku.

Gdy zabił w Cichej, to później w Kamienistej, następnie w Pysznej, potem w Jarząbczej. I tak było przez kilka lat, później to ustało; widocznie zginął gdzieś od kuli.

Marzeniem mojem było od lat, zobaczyć niedźwiedzia w górach; robiłem w tym celu kilkudniowe wyprawy ze znanym niedźwiedziarzem, w miejsca, gdzie ma on zwykłe swoje przechody — oglądałem pobożowiska, gdzie Wojtek gromił niedźwiedzie, lecz nie było mi danem spotkać się z nim, — może dlatego, że pora była nieodpowiednia, za duży ruch był w tym czasie w górach, a późną jesienią nie mogłem przyjechać.

„Kiebyście panie przijeali wte, kie śnieg przykurzi wirhy, tobyście sie śnim spotkali“.

Ale wtedy nie miałem czasu.

* * *

Późną jesienią, gdy śnieg w górach pokryje szczyty i zbocza trawiaste powyżej górnej granicy lasów, gdzie rosną gęsto bruśnice, które niedźwiedź namiętnie lubi, schodzi on na zręby i do dolin, gdzie znajduje się jeszcze nie zebrany, bo niedojrzały owies, który mu wtedy za poży-

wienie służy i pożądaną odmianę w jego spisie potraw stanowi.

Owies na nowych zrębach rośnie bardzo bujnie i dosięga prawie wysokości człowieka, zaś na polach mających mało słońca wcale nie dojrzewa i często się zdarza, zwłaszcza w mokry rok, że zanim dojrzeje, śnieg go przysypie.

Jest to pora, kiedy niedźwiedzia łatwo wytropić, zwiędziawszy się bowiem o takim niezebrany owsie, odwiedza go regularnie z całą rodziną w nocy i straszne w nim czyni spustoszenia. Siada bowiem na zadzie, zgarbia przednimi łapami tyle owsa do paszczy ile obejmie, ogryza ziarno i dalej się posuwa. Po takiej wizycie niedźwiedziej, o zbiorze niema co myśleć.

W dobrach poronińskich leśniczy Pawlica, który zasiał na polanie w lesie owies, zauważył, że go ktoś kradnie. Poszedł więc w nocy, aby złodzieja na gorącym uczynku złapać. I rzeczywiście dostrzegł górala w ciemnej cusze, jak schylony zbierał owies, jakby do płachty. Podkradał się chyłkiem ku niemu, aby go przeciągnąć toporzyskiem po krzyżach, lecz „on“ widocznie poczuł wiatrem człowieka i mruknąwszy ze strachu, uciekł w jedną stronę, a Pawlica w drugą, dziękując Bogu, że nie uderzył ciupagą niedźwiedzia.

Tenże leśnik wybrał się raz do lasu na cechowanie drzewa. Chodząc po lesie i znacząc świerki przeznaczone na wyrąb, zbliżył się do upatrzonego grubego smreka, aby go naznaczyć i skamieniał z podniesioną do góry ciupagą na widok niedźwiedzia, który dźwignął się mrużąc, utkwiał w niego drobne ślepia — i stali tak chwilę naprzeciw siebie, zanim niedźwiedź powoli się oddalił.

Niedźwiedź spał pod drzewem, zapewne dobrze nadedzony i gdyby nie zupełna nieruchomość przerażonego

leśniczego, może byłby go poturbował za przerwanie spoczynku.

Za czasów poprzednich właściciele Zakopanego, zarząd dóbr urządzał często polowania na niedźwiedzie. Leśniczowie poszczególnych rewirów przy spadłej pierwszej ponowie w październiku, bez osobnego rozkazu wysyłąli leśnych w celu tropienia, wiedząc z góry, że myśliwi zjawią się napewno nazajutrz rano na leśniczówce, chociaż nie zawiadomieni poprzednio.

I to był jedyny sposób, aby móc urządzić polowanie z pewnem prawdopodobieństwem spotkania, gdyż dając wiadomość chociażby umyślnym posłańcem do zarządu, o otropionym niedźwiedziu, zanim się roześle zaproszenia do myśliwych, zanim ci przyjadą, zejdzie kilka dni, niedźwiedź zaś nie lubi czekać, a śnieg zginie tymczasem.

O kilku takich polowaniach słyshałem od myśliwych, biorących w nich udział.

Jedno z nich miało miejsce 24. września 1881 r. Jak było zapowiedziane, z pierwszą ponową zjechali myśliwi na leśniczówkę na Brzanówce, gdzie już służba leśna, z leśniczym Horwathem, czekała z wiadomością, że na Reniasie są trzy niedźwiedzie otropione, dwa zaś wyszły stamtąd i zaległy „między drogami“.

Postanowiono wziąć miot Renias. Obstawiono myśliwych, których było 35-ciu, nagonka zaś w liczbie 25-ciu ruszyła punktualnie o oznaczonym czasie według zegarka, o czem myśliwych strzałem zawiadomiono.

Gdzieś w połowie miotu padły dwa strzały, niedługo potem słychać było głos leśnego: Pilnujcie, bo niedźwiedzie idą! Za chwilę wyszły dwa młode niedźwiadki, a za nimi stara niedźwiedzica na nadleśniczego Effenbergera, który stał na polanie. Strzelił do niej kulą z gładkiej strzelby. Ryknęła, padła z dymem, podniosła się — z drugiego sta-



nowiska padł także strzał, — i pobiegła za młodem, które ją odbiegły, wtedy nadleśniczy strzelił jeszcze raz za nią lotkami.

Po skończonym miocie zeszli się myśliwi, opatrzone strzały, skonstutowano farbę na tropie i okazało się, że strzelał także młody Horwath, praktykant leśnictwa. Postanowiono poczekać i dopiero po godzinie wysłano leśnych za tropem, którzy wrócili z wiadomością, że niedźwiedzica uszła ze trzy kilometry i obiegła w gęstej, dwudziestoletniej świerczynie, młode zaś poszły światami.

Ponieważ dzień był na schyłku, pozostawiono ją w spokoju, sądząc, że jako ciężko ranna zginie przez noc, a w każdym razie z miotu się nie wyniesie.

Na drugi dzień rano obcięto jeszcze raz miot, z którego niedźwiedzica rzeczywiście nie wyszła, obstawiono myśliwych i gońców w około, Effenberger z leśniczym Horwathem i dwoma leśnymi poszli za tropem, gońcy zaś, mieli gonić głośno, ale dopiero po strzale.

Idący za tropem znaleźli na małej polance miejsce, gdzie się z bólu tarzała, śnieg był w około juchą przesiąkły — o sto zaś kroków od tej polanki leżała i za zbliżeniem się myśliwych powstała, wlokąc się raczej niż uciekając, osłabiona wpływem krwi. Posłano za nią dwa strzały, które chybiły.

Wyszła na linię strzelców, często stając i tam padła od strzału leśnego, trafiona kulą w czoło na 10 kroków odległości. Pokazało się, że kula Effenbergera utkwiała w komorze, kula zaś młodego Horwatha przeszła brzuch na wylot tak, że wnętrzności wychodziły — oprócz tego miała jeszcze jedną kulę w sobie. Ważyła przeszło trzy centnary.

Drugie polowanie odbyło się w tym samym roku przy następnej ponowie, 3-go października. Tym razem otropiono poniżej Rusinowej Jaworzyny w 15-to morgowym zapuście

starego niedźwiedzia, którego już nieraz szlakowano i odciski łap znano dobrze.

Był wtedy w Zakopanem komisjoner firmy Giani z Wiednia z przyborami kościelnymi, p. K. Dowiedziawszy się, że nazajutrz ma się odbyć polowanie, uprosił panów z zarządu aby go wzięli z sobą, bo chciałby zapolować na niedźwiedzia, którego w Schönbrunie już nieraz widział, zaś na polowaniach na zające, to już był kilka razy. A że wesóły towarzysz był i gruntowną bibę urządził dla całej kompanji, więc go wzięto.

Dano mu starą pojedynkę, którą leśny Sobczak nabił podwójną miarką prochu, aby „Miemieć pocuł flintę przy zuchwie“, wbił kulę owiniętą szmatą z onucy żelaznym stemplem z pomocą młotka, bo utknęła w zardzewiałej lufie.

Ze względu na wiatr obstawiono pierwiej linię strzelców; a dopiero później nagonka zajęła swe miejsca. Pana K. postawiono gdzieś daleko na skrzydle, aby go niedźwiedź nie przestraszył.

Po sygnałowym strzale nagonka podniosła piekielną wrzawę, na linii myśliwych padły jeden po drugim dwa strzały, a później jeszcze jeden strzał, gdzie stał komisjoner; potem nastąpiła cisza zupełna.

Po długiej chwili, gdy się najbliżsi myśliwi zeszli, jakby tknięci złem przeczuciem, pobiegli w stronę ostatniego strzału, i zobaczyli pana komisjonera na ziemi, bladego, przychodzącego do przytomności, a naprzeciw niego olbrzymiego niedźwiedzia, w ostatnich drgawkach.

Pan K. na zapytania nie mógł dać odpowiedzi, bo mu mowę odjęło, przytem odbył mimowoli pewną czynność fizjologiczną, która uczyniła go niemożliwym nawet w tak wyrozumiałem i swobodnem towarzystwie, jakimi są myśliwi.

Otóż co się stało: niedźwiedź po chybionych dwóch strzałach poszedł na skrzydło, gdzie stał na straconem sta-

nowisku p. K. Przesmyk był tak ciasny, że nie było gdzie ustąpić, to też niedźwiedź wyskoczywszy z gęstwiny, znalazł się oko w oko ze strzelcem, który widząc otwartą paszczę zwierza przed sobą, stracił przytomność i sam nie wiedział jak, wystrzelił. A strzelił dobrze, kula bowiem trafiła w czoło, przeszła przez szyję do komory i utkwiała w sercu, razem ze szmatą w którą była owinięta, skąd ją przy obieleniu zwierza wydobyto.

Ową kulę wyprosił sobie szczęśliwy strzelec, aby ją nosić na pamiątkę, jako brelok przy zegarku.

Niedźwiedź ten był bardzo stary o siwym włosie, piersi i pachwiny miał zupełnie wyłysiałe. Głowa i łapy zostały odlane w gipsie przez profesora G. Łeb mierzył od nosa do uszu 75 cm. Był to jeden z największych niedźwiedzi, jakiego w Tatrach ubito.

W roku 1887. 17-go października, urządził zarządca p. Maniecki polowanie na otropioną pod Wołoszynem niedźwiedzicę. Była ona poprzednio w rewirze poronińskim należącym do p. Uznańskiego, gdzie urządzono na nią polowanie, na którym znajdował się także leśny dóbr zakopańskich, Dziadoń. Ten, wymiarkowawszy gdzie niedźwiedzica może leżeć, przeszedł tuż przed rozpoczęciem gonu przez miot i wypędził ją do rewirów zakopańskich, co mu się też udało, poczem nie czekając na podziękowanie myśliwych poronińskich, poszedł wprost do swego leśniczego, aby zameldować, że ma niedźwiedzica w rewirze.

O ile wiem, ma on więcej podobnych grzechów na sumieniu, był bowiem bardzo zazdrośny jako myśliwy i nieobliczalny.

Zrobiono naturalnie zaraz nazajutrz polowanie, na którym oprócz kilku naganiaczy, było strzelców dwudziestu.

Leśny szedł za tropem i ruszył niedźwiedzicę, która wyszła na Dziadonia na kilka kroków. Ten strzelił do niej

na sztych raniąc śmiertelnie, kula bowiem wszedłszy w pierś, wyszła brzuchem, naruszywszy serce.

Niedźwiedzica po strzale zwróciła się w tył i zaczęła uciekać w dół ku potokowi, strzelana jeszcze trzy razy przez p. Kam., poczem padła.

Widziałem skórę tej niedźwiedzicy: niewielka, brunatna, z wyraźną jasną obrozą na szyi.

Od tego czasu urządzano niejednokrotnie polowania w dobrach zakopańskich, lecz bez rezultatu, niedźwiedzie wychodziły zwykle na górali lub leśnych, którzy albo je ranili nieszkodliwie, lub też bali się strzelać.

W jednym z późniejszych polowań brali udział hr. T. Dzieduszycki, Sienkiewicz i właściciel Zakopanego hr. Zamoyski.

Niedźwiedź wyszedł pomiędzy Sienkiewiczem i hr. Dzieduszyckim, obaj strzelali, po strzale ostatniego zrulował z rykiem, lecz podniósł się i zniknął w gąszczu. Na miejscu farba obfita wskazywała na strzał śmiertelny. Posłano Dziadonia za tropem, który wrócił i oznajmił, że niedźwiedź obległ na Hurkotnem.

Wzięto ten miot, Dziadoń z psem szedł za tropem, pies zaczął naszczekiwać jak na dziką, potem uciął — niedźwiedź na myśliwych nie wyszedł. Dziadoń twierdził, że przeszedł na węgierską stronę przez Białkę. Nikt o nim więcej nie słyszał.

W roku 1902., 21-go października, urządzono polowanie na otropione trzy niedźwiedzie koło leśniczówki na Zazadniej, które wówczas opisałem w „Łowcu“.

Niedźwiedź wyszedł na jednego z młodych myśliwych na kilka kroków na sztych, ten bał się strzelać, a niedźwiedź zoczywszy go, skoczył nazad w miot i wypadł galopem między mną i dr. Zduniem. Obaj strzelaliśmy, kula dr. Zdunia zrobiła małą obcierkę na zadniej łapie.

Niedźwiedź ten, otropiony tego samego dnia, wyszedł z miotu nieobstawionem miejscem i wrócił się do niego nazad podczas gonu. Przy powtórny gonieniu tego miotu, wyszedł jeszcze raz na dr. Zdunia i leśnego Gronikowskiego. Chybili obaj, zwłaszcza Gronikowski, bo na 25 kroków z obu łuf, a niedźwiedź przeszedł do dóbr jaworzyńskich.

Drugie dwa niedźwiedzie wyniosły się z miotu, podczas obstawiania myśliwych i defilady Dziadonia z leśnymi, po linii strzelców.

Na drugi dzień również nie powiodło się. Dziadoń rozstawił myśliwych w połowie miotu, podczas gdy niedźwiedzie były za ich plecami.

Od tego czasu nie polowano w tym rewirze, aż dopiero 31. października 1912 r. na żądanie Starostwa nowotarskiego, wskutek skarg górali, że im niedźwiedzie niszczą owsy. Polowanie miało się odbyć w dobrach poronińskich i zakopańskich.

Dwa niedźwiedzie trzymały się od lata stale rewiru, nie były otropione i tylko przypadkowi zawdzięczać należy, że leśny Pawlikowski, będąc w stronie polany Zgorzelisko, spostrzegł ślady łap, obciął na poczekaniu i zaraz pobiegł dać znać o tem leśniczemu i zebranym myśliwym.

Niedźwiedzica z piastunem znajdowała się w kawałku lasu, około 30-tu morgowym. Dwa boki miotu zajęli strzelcy, do których i żandarmi należeli, a trzeci bok, zajęła nagonka.

Żandarmi, po zajęciu stanowisk, przyklękli na jedno kolano, nastawiwszy karabiny z bagnetami w miot. Po strzałach danych w nagonce i po rozpoczęciu gonu bardzo hałaśliwego, wyszły niedźwiedzie nie na główną linię myśliwych, jak się spodziewano, lecz na flankę, a mianowicie między „braci Czechów“, leśników dóbr poronińskich, którzy stali razem z żandarmami. Stanowiska te były odległe od siebie o trzydzieści kroków i pomiędzy tych panów

przeszły niedźwiedzie, jeden po drugim. Czasu i miejsca do strzału było dosyć, ale... lepiej djabła nie zaczepiać! Dopiero, gdy były już w gąszczu drugiego miotu, namyślił się jeden z tych leśników i strzelił za nimi, aby honor ocalić. Świadkowie różnie opowiadali o minach i wyglądzie tych panów, a ktoś pytał się żandarma, dlaczego nie wołał na niedźwiedzie „halt“.

Koniec końców, niedźwiedzie poszły i zdaje się nieprędko będą w tak przystępnem miejscu otropione.

O tem, że w bezpośredniej bliskości Zakopanego przechodzą corocznie niedźwiedzie, mało wiedzą goście zakopańscy. Dzieje się to zazwyczaj późną jesienią lub też na wiosnę, gdy jeszcze śniegi leżą. W pierwszym wypadku idą do gawry, w drugim, już ją opuściły i chodzą daleko, szukając trawy, którą znajdują, odtajaną z pod śniegu, na oborniku przy szałasach.

U nas gawrują w dolinie Roztoki pod Wołoszynom. Tam też spotyka się najpóźniejsze w jesieni tropy, z wiosną zaś pierwsze ślady, prowadzące do wody potoku.

Opowiadał mi Biały Krzeptowski, gdy raz w jesieni byli po drzewo w Roztoce, i śnieg ich tak przykurzył, że musieli kilka dni tam czekać, przeszło wtedy z Węgier siedm niedźwiedzi na Czubę. Było to w czasie, kiedy jeszcze nowej drogi do Morskiego Oka nie było.

W jednym ze żlebów Wołoszyna, nad domem droźnika, znaleziono z wiosną 1913 r., idąc za starym tropem, niedźwiedzie leżysko. Było ono na skalce, z której zwieszała się kosodrzewina, wyścielone gałęziami i nawet całymi smereczkami. Po odkopaniu śniegu znalazły się kudły niedźwiedzie, nie było zatem żadnej wątpliwości, że to jego gawra, tem bardziej, że wokoło było wiele wyłamanych świerków, grubości ramienia, poskładanych na kupę.

Gdzieś w okolicy doliny Chochołowskiej, w lasach

będących własnością siedmiu gmin podhalańskich, ścinał chłop świerka, który padł wierzchołkiem niedaleko gawry niedźwiedzia, a ten mimo tego nie ruszył się z miejsca. Dopiero piesek, który za chłopami do lasu przybiegł, wystraszył go.

Na niedźwiedzia tego polowali Witowianie, bezskutecznie ze dwa tygodnie. Za każdym razem uszedł szczęśliwie i obiegł niedaleko. Aż raz srodze przyciśnięty, nie mając gdzie uciec, zjechał ze stromego stoku po gołoledzi na węgierską stronę, przyczem się pokaleczył i farbował. Tam go więcej nie śledzono.

Mam zanotowane, że w roku 1904. w jesieni, przeszedł bardzo wielki niedźwiedź od Smytni w dolinie Kościeliskiej ku Kirom. Przed ujściem doliny zboczył w las na prawo, szedł pod Reglami ku Małolące, przeszedł przez mostek tuż koło chaty leśnego i dalej popod Regle, tak zwaną drogą żelazną, aż do kamieniołomu, gdzie skręcił na Krokiew i koło schroniska braci Albertów, przeszedł w dobra poronińskie. Cały ten pochód wytropili leśni po śniegu.

Z końcem marca 1909 r., podczas wycieczki narciarskiej, w chwili, gdy na polance na Grzybowcu fotografowaliśmy z synem moim Giewont, przeszedł żlebem z Miętusiej do Małoląki niedźwiedź, tropiony przez trzech leśnych i przysiadł poniżej nas w odległości około stu kroków w młodniku. Ruszony przez leśnych przeciął nasz ślad o kilkadziesiąt kroków za nami.

Gdyśmy zjechali żlebem Warzęchy do altany w Strążyskach przy wodospadzie, dogonił nas leśny i opowiedział o tym niedźwiedziu. Pośpieszyliśmy co rychlej, aby mu przeciąć drogę do potoku, lecz on już pierwej przeszedł między Siklawą a szalasami na Czerwoną Przełęcz, a stąd, prawdopodobnie przez Patyki, swą zwykłą drogą dalej.

W roku 1910., 16. kwietnia, tropili leśni Karpień i Kula

niedźwiedzia w Małołące i dali o tem znać leśniczemu w Kościeliskach, który natychmiast urządził polowanie. Myśliwi stanęli od Kalatówek, a leśni szli za tropem przez Strążyska i dolinę Białego. Niedźwiedź wykręcił na Krokiew koło przełęczy na Patykach, przeszedł krajem lasu popod halę na Kalatówkach i przez potok do poronińskich lasów, nie zastawszy myśliwych na stanowiskach, którym za długo było czekać na niego, i poszli do domu...

Wogóle w tym rewirze nie udaje się polowanie, z powodu niedołęstwa leśnych i braku myśliwych.

Podobnie było i w roku 1912. Niedźwiedź, goniony od Małołaki ku Strążyskom, przeszedł przez stanowisko strzelca Krzeptowskiego, popod bukiem, opuszczone przed chwilą, aby lepsze wyszukać. Wyszedł potem na Patyki, aby się spuścić do Kalatówek, a zobaczywszy na hali narciarzy, powrócił do doliny Białego, gdzie przez noc pozostał. Leśny wysłany dla obcięcia go, prześlpił trop wychodny i goniono nazajutrz pusty miot.

Takich nieudałych polowań było wiele; nie warto o nich wspominać, bo niezabawne i tylko psują krew myśliwemu.

Spotkania z niedźwiedziem w lesie, a zwłaszcza w porze dojrzewania malin i borówek, nie należą do rzadkości. O takich spotkaniach na Orawie, opowiadały nieraz nasze kobiety, które tam często chodzą na jagody.

Gospodyni schroniska w Roztoce, poszła raz ku Pięciu Stawom. Niedaleko Siklawy zeszła z drogi i zbierała maliny, przyczem natknęła się na leżącego niedźwiedzia. Nie wiadomo kto był więcej przestraszony, bo oboje uciekali co siłą, w przeciwnych kierunkach.

Inżynier Z., zajęty przy budowie drogi do Morskiego Oka, wyszedł ze strzelbą na Wołoszyn, aby strzelać jarząbki na wabia. Na zrębie wypadł na niego rogacz, wi-

docznie przez kogoś spłoszony, — a gdy dociekał przyczyny tego popłochu, spostrzegł w bliskości wielkiego niedźwiedzia, który go jednak jeszcze nie poczuł. Mając strzelbę nabitą cienkim śrutem, wycofał się ostrożnie z tego sąsiedztwa.

W roku zdaje mi się 1903., profesor M. buszował na Gołym Wierchu, polując na rogacza, w towarzystwie praktykanta leśnictwa, Bleha. W młodniku, łączącym się z Szerokim Żlebem, Bleha chwytą go za ramię, wskazuje przed siebie i szepce: Niedźwiedź! Strzelaj Pan!

Ten widząc przez gałęzie jakąś ciemną masę, strzela i wali na ziemię świerka. Był to — jak się okazało piastun, który w ten sposób ocalał, a Bleha dojrzał również uchodzącą niedźwiedzicę, która prawdopodobnie nie wiedziała o niebezpieczeństwie, jakie jej potomkowi groziło, bo wtedy sprawa możeby tak gładko nie poszła...

Niekiedy człowiek błogosławi chybiony strzał!

Głośna była swego czasu w dziennikach opisana i podpisami świadków stwierdzona przygoda turystów z dwoma niedźwiedziami, o ile pamiętam, w dolinie Białej Wody.

Podczas popasu zjawiają się niespodzianie dwa niedźwiedzie. Turyści z góralami uciekają do szałasów, ratując życie, a niedźwiedzie dobrały się tymczasem do rozłożonych prowiantów. Ponieważ to trwało dosyć długo i niedźwiedzie nie odchodziły, przeto jeden z odważniejszych zaczął ku nim wyglądać, a gdy to nie robiło na nich wrażenia, rzucił im kilka kawałków cukru, które one chciwie zjadły. Odtąd zapanowała zupełna harmonja w tem mieszanem towarzystwie, zanim niedźwiedzie nie odeszły w las.

Przygoda ta wywołała wielką podówczas sensację w Zakopanem i różnie była komentowaną.

W tym samym czasie wojskowość robiła pomiary w Tatrach. Otóż zdarzyło się, że na jednego z oficerów,

pracujących przy tych pomiarach, wyszły, zdaje się, tesame dwa niedźwiedzie. Syn Marsa nie stracił przytomności, wyjął rewolwer i strzelił kilkakrotnie do uchodzących niedźwiedzi, z których jeden potem farbował. Ten farbujący właśnie, spotkał później leśnego, do którego wyciągnął skrwawioną łapę i mrucząc żałośnie, użalał się na swą krzywdę.

Łapa została obwiązana, a piastun zaprowadzony do swojej kwatery, były to bowiem niedźwiedzie chowane w zwierzyńcu ks. Hohenlohego, które stamąd uciekły, aby pobujać trochę na wolności.

Leśny Sitarz, który miał nieraz sposobność spotkać niedźwiedzia, opowiadał, że gdy wracał z pewnym panem z podchodnego na jelenia, na gościńcu od Morskiego Oka, w miejscu, gdzie schodzi ścieżka z Czerwonych Brzezków, wyszedł z lasu niedźwiedź na czterdzieści kroków od nich, chcąc przejść przez drogę ku wodzie. Zobaczywszy ludzi, zawahał się i niezdecydowany kręcił się chwilę po gościńcu. Ów pan był również niezdecydowany czy strzelać, dopiero, gdy niedźwiedź zniknął w lesie, zerwał sztuciec z ramienia ze słowami: „Ach, ja już nigdy nic nie zabiję, bo mam za zimną krew!...”

W roku 1902., 18. sierpnia, znalazł się niedźwiedź w lasach koło Nowego Targu, blisko stacji kolejowej. Wędrówce swej chciał przejść torfowiska i ugrzązł w nich. Pasterze zobaczyli go i, rzucając kamieniami, napędzili do lasu.

Właśnie wtedy wybrali się myśliwi nowotarscy na kszuki, a dowiedziawszy się o tem, wrócili po więcej myśliwych, psy i kule. Podłożone we wskazanem miejscu psy, ruszyły go. Pierwszy strzelał wójt z Ludźmierza, Jachymiak i trafił w przednią łapę. Niedźwiedź zaczął ryczeć, wspiał się do góry, zatoczył koło i biegł wzdłuż linii strzelców, którzy strzelali do niego z blizkiej odległości, poczem padł. Ważył 108 kg.

W roku 1904. w końcu sierpnia, bawiłem na leśniczówce na Zazadniej — aby uciec od ruchu sezonowego, który stałem mieszkańcom Zakopanego szczególnie daje się we znaki. Przytem chciałem poznać dokładniej mała mi wówczas znany rewir tamtejszy i, korzystając z uprzejmości Zarządu dóbr, zapolować na rogacza, który to rodzaj polowania namiętnie lubię.

Podczas buszowania wieczorem 27-go sierpnia, — na starym zrębie w Szerokim Żlebie, porośniętym kępami świerczyny, jarzębiną i bujną trawą, mignął się powyżej mnie rudawy grzbiet zwierza. Poskoczywszy w to miejsce, a byłem z dobrym wiatrem, ujrzałem niedźwiedzia stojącego na zadzie, sięgającego łapami i pyskiem do jagód młodej jarzębiny, którą widocznie chciał nagiąć ku sobie.

Wspaniały i niezapomniany był to widok! Widziałem wyraźnie czarne jego łapy z pazurami, ogromny, przechylony w bok łeb, jasną obrożę na szyi, gdyż stał o dwadzieścia kilka kroków odemnie. Trwało to mgnienia oka, — myśl jak błyskawica przebiegła przez głowę — strzelać w łeb, czy w komorę? Zdecydowałem się na to ostatnie, gdyż na wyszukanie muszką jego małego mózgu na ciemnym łbie, było trochę za mroczno. Zmierzyłem w łopatkę i strzeliłem, łamiąc natychmiast strzelbę i wsuwając nową kulę, gdyż miałem jeszcze tylko gruby śrut w lufach.

Po strzale usłyszałem kilkakrotne krótkie ryknięcie i tętent, jakby konia — niedźwiedź jak stał lewym bokiem do mnie, opadł na przednie łapy, przebiegł galopem w gąszczu o kilka kroków odemnie, zatoczył koło i wrócił się w to samo miejsce, skąd następnie powoli odszedł. Wszystko o słyzałem, nie widząc jednak niedźwiedzia, a sprawdziłem dokładnie po tropach dnia następnego. Może zwierz ranny szukał tego, kto go śmiał zaczepić; inaczej nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego wracał do miejsca strzału.

Poczekawszy chwilę, gdy wszystko ucichło, poszedłem na strzał szukać kudłów lub farby, lecz nic znaleźć nie mogłem. Na to przyszedł praktykant leśnictwa p. Górski, który był w innej stronie zrębu, pytając, czy jest rogacz. Zobaczywszy go, struchlałem z przerażenia, gdyż niedźwiedź właśnie w tę stronę poszedł, skąd on się zjawił, bez żadnej broni przy sobie, prócz laski.

Powiedziawszy mu do jakiej zwierzyny strzelałem, począłem szukać, czy gdzie nie leży w bliskości — z powodu mroku nie zapuszczałem się jednak w gąszcze, pozostawiając dokładne tropienie do dnia następnego. Strzału swego byłem pewny; chybić na tę odległość nie mogłem, co i niedźwiedź rykiem potwierdził, gdyż nie trafiony dobrze, milczkiem umyka.

Na leśniczówce wielka sensacja: co? gdzie? jak? i tym podobnym pytaniom nie było końca. Moja noc była szkaradna, miałem okropny „katzenjammer“, że może źle trafiłem, że trzeba było mierzyć w łeb lub z drugiej lufy natychmiast poprawić, itp. Najwięcej niepokoiło mnie to, że w nocy zasłoci się i deszcz spłucze juchę.

Rano, o piątej, wybraliśmy się we trzech, z suką legawą, na poszukiwanie. Na strzale kudłów znaleźć nie mogłem, po dziesięciu krokach była kropla, a dalej bardzo obfita jucha, która formalnie chlustała ze zwierza. Dobra nasza — zawołałem, musi leżeć niedaleko. Jakoż leżał może o sto kroków od miejsca strzału, stoczywszy się z góry pod wykrot.

Była to, jak się pokazało, niedźwiedzica, może trzyletnia, z gatunku wielkich niedźwiedzi — czarna, — z brunatnym łbem i bokami, czarnym garbem i jasną obróżą, długości 160 cm., od nosa do końca grzbietu. Nierozwinięte jej sutki wskazywały, że jeszcze młodych nie miała.

Czterech ludzi zniosło ją z trudem z góry do wozu, na którym jak tryumfator, chociaż w ulewnym deszczu, zjechałem na leśniczówkę, obdarzony tam gratulacjami, gdyż w dobrach zakopańskich od lat wielu nie zabito niedźwiedzia.

Ogromne było wrażenie, gdy ją wiozłem na otwartym wózku przez Krupówki, było to bowiem w pełnym sezonie; mnóstwo też ludzi przychodziło do mnie nazajutrz, aby ją oglądać.

Przy sekcji okazało się, że kula weszła przez lewą łopatkę, przeszła szczyty płuc, prawą łopatkę i zatrzymała się pod skórą. Strzelałem z trzylufka, nabojem zredukowanego 8 mm. Manlichera. Wydobyłem ją w kilku kawałkach i z rozerwanym płaszczem.

Charakterystycznym było to, że niedźwiedzica leżała na tym boku, w który dostała pocisk, okoliczność, którą sprawdziłem niejednokrotnie na zwierzynie ubitej kulami.

Sadlista była naleźycie, na grzbiecie i szynkach miała na dwa palce grubości sadła — w żołądku znajdowały się jagody jarzębiny, smołyszy i głogu. W pomociu, który puściła po strzale, znalazłem niedotrawiony owies i mrówki.

W roku 1910. byłem z leśnym Sitarzem na Czubie. Na Świstówce widziałem kilka kozic, a jedna uchodziła powoli przed nami granią Czuby aż do lasu. Szliśmy graniami w stronę Wodospodów, ścieżką udeptaną przez zwierzynę. Wyszedszy z lasu na stary zrąb, spotkaliśmy kilkakrotnie pomioty niedźwiedzia, a na dużym płaskim kamieniu, na którym widocznie nieraz odbywał sjęstę południową, istny wychodek niedźwiedzi.

Sitarz opowiadał, że przed trzema tygodniami widział powyżej tego miejsca niedźwiedzia na skale, objadającego bruśnice, które rosły nad przepaścią, tak, że musiał się on dobrze pazurami trzymać, aby nie spaść. W trakcie tego

opowiadania, jakby na potwierdzenie tych słów, zawołał nagle półgłosem: „Panie, niedźwiedź!” I wskazał ręką przed siebie. Dojrzałem go i ja, jak się pasł na jagodach, kręcąc się w prawo i lewo.

Polecilem leśnemu, by pozostał w miejscu i obserwował go, ja zaś zacząłem go podchodzić. Podchodzenie było trudne z powodu, iż wiatr był niezbyt korzystny, a ścieżka kamienista zawałona gałęziami i wykrotami; obejść go zaś z innej strony, było niepodobieństwem. Doszedłszy do miejsca, gdzie, jak mi się zdawało powinien był się znajdować, nie znalazłem go. Przede mną było wzniesienie z wykrotami i wysoką borowiną, na lewo ku Roztoce przepaściste turnie i tarasy porośnięte lasem, a na prawo bardzo spadziste zbocze starego zrębu, porośnięte jarzębiną i świerczyną. Ponieważ widziałem z góry niedźwiedzia zwróconego w tę stronę łbem, sądziłem, że tam poszedł.

Zacząłem go szukać w zrębie, przyczem nie obeszło się bez kilkakrotnego poślizgnięcia i upadku. Wlałem w gniazdo jarząbków, które jak rakiety rozleciały się z głośnym furknieniem i siadły w okóło, lecz mnie to wtedy mało kusiło.

Wróciwszy w miejsce poprzednie, ujrzałem leśnego, który stał na owej wyżynie i mówił, że właśnie tu był niedźwiedź. Byłem więc o dwadzieściakilka kroków od niego i nie wiedziałem o tem. Leśny obserwował go podczas mego podchodzenia przez lornetkę, widział, jak tenże pasąc się musiał mnie posłyszeć, gdyż nadśluchiwał, przekrzywiając łeb jak wyżeł, przyczem podniósł się, wsparłszy łapy na wykrocie — następnie pasł się i drugi raz tensam manewr powtórzył, poczem skoczył i uciekł w dół do Roztoki, po owych omszonych turniach. — Sitarz widział, jak się smreczki trzęsły, któredy niedźwiedź biegł. Przyznał się, że

wypatrzył sobie zawczasu świerka, aby na niego uciec, w razie zranienia zwierza.

A no—trudno, nie udało mi się, a było to w samą rocznicę zabicia pierwszego niedźwiedzia, to jest, 27. sierpnia. Leśny był przekonany, że nowa moja strzelba nie przyniosła mi szczęścia, — „z tamtej toby pan już niejednego zwierza zabił“, mówił. Może on ma rację, gdyż cały tydzień z nią poluję i widząc zwierza poddostatkiem, nic nie zabiłem.

Tegoż dnia wieczorem, gdy siedzieliśmy obaj w tym samym zrębie, widział on znowu niedźwiedzia, idącego w górę, twierdził jednak, że to był zupełnie inny.

Dzień ten był fatalny, gdyż leśny odszedł mnie, zabrawszy torbę z żywnością. Zaskoczony ciemnością w zupełnie obcym mi miejscu, między wykrotami i gnijącymi świerkami, musiałem noc przepędzić w deszczu i o głódzie, nie mogąc znaleźć wyjścia z tego labiryntu. Wypościłem się przez 24 godzin gruntownie — przyczem jakiś złośliwy duch leśny tak mnie omamił, że potoki, które słyszałem całą noc z obu stron Czuby, przemieniły się rano: Rybi był w Roztoce, a ten od Siklawy, płynął od Morskiego Oka.

Była to kara za nieudane podchodzenie ranne, za niewyzyskanie spotkania.

To, co teraz opowiem, stało się dawno, (roku nie pamiętam), ale zdaje mi się jeszcze za niemieckiej administracji dóbr zakopańskich. Zarządca, sam nie myśliwy, nie urządzał żadnych polowań i nie pozwalał polować nikomu z podwładnego sobie personalu. Jeżeli ktoś zgłosił się do niego z prośbą o pozwolenie polowania, dostawał czasem, jeżeli trafił na dobry humor pana dyrektora, asygnatę, jaką na drzewo się wydaje, według której wolno mu było na ściśle oznaczoną zwierzynę i w ściśle oznaczonem miejscu zapolować.

Tak było z głuszcami, rogaczami i jeleniami; nie-

dźwiedzi nie pozwalał strzelać, gdyż te były zarezerwowane dla jakiegoś legendarnego księcia, który miał na nie polować, ale nigdy nie przyjeżdżał. Przechodziły więc one regularnie do dóbr jaworzyńskich, gdzie je karmiono padliną, dopóki nie przyjechał rzeczywiście ks. Hohenlohe i nie zabił. Jelenie chciał sprzedawać na odstrzał, ale ponieważ robiły szkody, kończyło się na tem, że nie myśliwi, lecz leśni strzelali tego szlachetnego zwierza. Inną zaś zwierzynę zabijali i łapali na druty kłusownicy, jak się to zwykle dzieje, gdy gospodarz nie poluje i drugim nie pozwala.

Jeden z urzędników zarządu ogromnie lubił zwierzynę, ponieważ jednak nie wolno było polować, wymykał się niekiedy cichaczem do lasu, aby uszczknąć jakiego rosgacza, co mu się nieraz udało. Gdy jeździł na wypłaty robotników leśnych, pozostawiał leśniczemu całą robotę, a sam jechał do lasu, niby dla kontroli.

Otóż tensam kasjer przyszedł raz do mnie i z miną tajemniczą wydobyl z pod płaszcza dość dużą, oczyszczoną czaszkę i pyta, czy poznaję, co to za zwierz.

— Naturalnie, odrzekłem, to czaszka niedźwiedzia, gdzieś ją pan znalazł?

— Nie znalazłem, tylko zabiłem, odparł z dumą — przyjdź pan do mnie, pokażę panu skórę z niego.

Wiedząc, że lubi szklíč, nie bardzo temu wierzyłem; — wreszcie może być że i zabił, pomyślałem. Był on chciwym strzału i bardzo zazdrosnym myśliwym; nie lubił, aby ktoś miał większe szczęście na polowaniu od niego — i jeżeli nie mógł inaczej, to przynajmniej starał się pomódz łaciną myśliwską. I tak raz miał przynieść z wieczornego ciągu pełną pelerynę słonek. (!)

Na niedźwiedzia dawno miał wielką ochotę, gonił też po lesie jak ogar, aby się tylko z nim spotkać. Podobno nawet spotkał się raz, lecz nie mogłem jasno dowie-

dzieć się jak to było — miał być już mrok i strzelać nie wypadało. Ja myślę, że byłby już nieraz spotkał niedźwiedzia, gdyby chodził jak myśliwy, a nie gonił, jak ogar.

Otóż z tym zabitym przez niego niedźwiedziem, tak się rzecz miała:

Dobrawszy sobie towarzysza, nadającego się wybornie do takich ekspedycji, znanego wówczas w Zakopanem Blaszkégo, pojechali obaj w stronę Morskiego Oka, popróbować szczęścia, czy się nie da co ustrzelić. Poproszył śnieg, jednak w lesie borowin nie przykrył. Koło Wodospadów dogonił ich leśny zadyszany i wystraszony, z nowiną, że pod Czerwonymi Brzeżkami wlaźł prawie na niedźwiedzia, pasącego się na borówkach. Nie chcieli temu wierzyć, lecz ten zaklinał się że to prawda, a i wystraszona mina potwierdzała jego słowa.

Porozumiawszy się wzrokiem ze sobą, wysłali leśnego do innej części lasu z jakimś zleceniem, a sami co rychlej udali się pod Czerwone Brzeżki. Znaleźli ślad leśnego i idąc pod trop ostrożnie, rozglądali się na wszystkie strony. I rzeczywiście przyszli aż do niedźwiedzia, który się pasł w małej dolince w grubym lesie, zgarniając łapami krzaki borówek. Spieszył się widocznie z tą robotą, aby mu ich śnieg nie zasypał do reszty.

Blaszké, nawiasem mówiąc, doskonały myśliwy-klusownik, był bez strzelby. Znał on dobrze zwyczaje zwierza, był nieraz na polowaniu na niedźwiedzia i obawiając się, aby kasjer swą gorączką nie popsuł sprawy i niedźwiedź ich nie pobił, chwycił go za ramię i cofnąwszy nieco w tył, szepnął:

„Mierz pan za ucho i strzelaj spokojnie, jak do wrony“.

Ten, chowając się za świerki, podsunął się ku niedźwiedziowi, który był tak zajęty borówkami, że nie słyszał

co się koło niego dzieje — a borowiny i śnieg miękki głuszyły kroki. Wymierzywszy za ucho, wypalił.

Po strzale widział tylko cztery łapy niedźwiedzia machające w powietrzu. Cofnął się więc ostrożnie ku Blaszkému i naradzili się co zrobić.

„Żyje jeszcze, bo strasznie stęka, musisz go pan dobić.“

Podszedł znowu ku niedźwiedziowi: siedział na zadzie, wsparty szeroko na przednich łapach, łeb trzymał spuszczone, z którego buchała jucha i ciężko stękał. Strzelił mu do boku i znowu uciekł w tył. I powtarzała się ta operacja jeszcze dwa razy, przyczem jeden ładunek nie wypalił. Gdyby niedźwiedź był wtedy dojrzał myśliwego, mogłaby być katastrofa.

Zawiele było tego już niedźwiedziowi; wstał i powłókł się do łożyska potoku, gdzie otrzymał wreszcie śmiertelną kulę na sztych w piersi; ta go ostatecznie powaliła, drasnawszy spód serca.

Radość była niezmierna! Blaszké sprawdziwszy, że to niedźwiedzica, aż położył się na niej z uciechy.

„Ale dzień się kończy, trzeba zawołać leśnych, aby ją stąd wynieśli.“

„A to na co? mówi kasjer; zabierzemy ją dla siebie.“

Blaszkemu w to graj, lubił on niezmiernie takie sztuczki, w których był mistrzem. Wypatroszyli tedy niedźwiedzicę w potoku, patrochy schowali pod skałę, związali łapy, wsunęli między nie uciętego świerka i dźwignawszy z wielkim trudem na ramiona, zaczęli nieść ku drodze.

Ciężka to była praca w tym terenie i tylko tak zawzięci ludzie jak oni, mogli temu podołać. Przedtem uprzątnęli wszelkie ślady farby, a niosąc niedźwiedzicę, uwiązał Blaszkę wielką miotłę z gałęzi świerczyny w tyle u pasa, która wlokąc się za nim, zamiatała ślady ich stóp. Resztę miał dopełnić śnieg, który właśnie zaczął padać.

Złożywszy niedźwiedzia w gąszczu blisko drogi, jeden z nich poszedł zobaczyć gdzie są leśni, a drugi po wózek, którym dopiero późnym wieczorem — zrobiwszy przedtem kilka mylnych kluczeń — zajechali po niedźwiedzia. Z niezmiernym wysiłkiem złożyli go na wózek i pojechali ku domowi.

Ba, ale po drodze leśniczówka, tam będą się dziwić jeżeli nie wstąpią; co robić?

Stanęli przed domem, kasjer wszedł śmiało i zaczął z miejsca coś opowiadać.

— A gdzież pan Blaszkę, pyta się leśniczy.

— Urznął się, jak nieboskie stworzenie i śpi na wozie.

Wydało się to bardzo prawdopodobnem, gdyż miał on pod tym względem ustaloną sławę. Wypiwszy strzeżniennego i ucałowawszy się z leśniczym, którego był serdecznym przyjacielem, kasjer wymówił sobie, aby go do wozu nie odprowadzano — wsiadł na kozioł i pojechali. Przybyli do Zakopanego w nocy, nie mieli więc świadków przy przenoszeniu niedźwiedzia na strych, wózek zaś zatrzymali do rana, aby go umyć z farby, i dopiero potem odesłali do Kuźnic.

Na drugi dzień leśny meldował leśniczemu o owym niedźwiedziu — kazano mu tropić za nim, lecz ślady były tak starannie zatarte i świeży śnieg przypadł, że leśny nie wiedział co się z nim stało — dalszego tropu nie znalazł.

—Przecież na skrzydłach nie uleciał—mówił leśniczy.

Chociaż przyrzekli sobie solennie ścisłą tajemnicę o tym wypadku zachować, to jednak kasjer nie mógł wytrzymać, aby się nie pochwalić zabiciem niedźwiedzia — rozgadał więc pod sekretem wszystkim znajomym. Zarządcy dóbr, który zobaczył u niego piękną rzeczywiście skórę na ścianie, powiedział, że tę przysłała mu w prezencie ciotka.

Mnie przekonała nietyle skóra, bo tę mógł kupić, jak

to, że zaprowadził mnie na pole walki i wyjął schowane pod skałą płuca i serce drażnione kulą. Pokazało się, że kasjer zbyt dosłownie rozumiał strzał za ucho, bo mając zwierza zupełnie z profilu, strzelił poza czaszkę w kark, i kula przeszła mięśnie, nie naruszywszy kręgow. Inne strzały dawane dorywczo tylko w kontury zwierza, bez dokładnej znajomości anatomji, nie powinny były mieć miejsca — przedłużały tylko niepotrzebnie jego mękę.

* * *

Górale wybierając się na kozice w jesieni na węgierską stronę i bawiąc po kilka dni w górach, spotykają się nieraz z niedźwiedziem. Często zdarza się przytem, że z powodu lichej strzelby, braku kuli lub zbytnej gorączki strzelca, zwierz źle trafiony uchodzi i ginie marnie, bez pożytku dla nikogo. Znajdywano nieraz kości niedźwiedzie rozwłócone przez lisy, jak to miało miejsce w roku 1912., przy poszukiwaniu zwłok śp. Szystowskiej, w dolinie Cichej, koło Tomanowej Liptowskiej, gdzie oddział pogotowia ratunkowego znalazł kości niedźwiedzie. Brak ścierwa zupełny, przyplaszczone do ziemi kudły, naprowadziły na myśl, że leżeć musiały przez zimę, a cienkie pazury i drobny ząb przedni, wskazywały na młodego niedźwiedzia.

Jakoż później dowiedziałem się, że niedźwiedzia tego postrzelił, w listopadzie poprzedniego roku, Jasiek Tyrała. Wracał on z Kopek Liptowskich, gdzie ubił dwie kozice na jeden strzał. Niósł je w torbie na plecach, gdy w dolinie Jaworowej powyżej górnego szałasu, natknął się niespodzianie na niedźwiedzia. Strzelbę niósł pod pachą, zaledwo miał czas odwieść kurek i strzelić do niego na kulawy sztych lotkami, na dwadzieścia kroków odległości.

Po strzale widział jak się sypnęły kudły z niego, zaryczał, zawrócił na zadnich łapach i znikł w gąszczu.

Szłakował go potem jak szedł popod Ścianki ku Tomanowej — dalej ślad zaginął.

Przedtem postrzelił Jasiek Tyrała dwa niedźwiedzie, których nie dostał, a Wojtek Nazim jednego w Zuberskiej.

Sposób, w jaki górale polują na niedźwiedzia, jest bardzo prosty.

W jesieni, gdy bruśnice dojrzeją, wypatrują do dnia i przed wieczorem, w dobrze im znanych miejscach z przeciwległego zbocza góry, „cy sie ka niedźwiedz nie pasie“. Biorąc pod uwagę wiatr, podkradają się o ile się da najbliżej, nieraz na kilka kroków pod zwierza, który ma słaby wzrok, a za to wyborny wiatr.

„Cym go blizy podkradniesz, to ci je pewniejszy, tyn ci nie uciece precki, — nie trza tak jak Luptoki, co strzylajom do niego z jedny góry na drugom, bo sie go bojom, haj“.

Tradycyjnie nabijają po dwie mniejsze kule owinięte szmatą jak to robił Sabała, a strzelają zwykle z obu luf naraz. Dzisiaj mają już lankastrówki i manlichery.

Maciej Sieczka Kulawy, wypatrzył raz do dnia, jeszcze o zmroku, pasącego się w żlebie niedźwiedzia. Przy podkradaniu się wybrał sobie nad tym żlebem turniczkę, za którą zamierzał się schować, aby obserwować zbliżającego się ku niej zwierza. Tymczasem, gdy już był niedaleko, „turnicka ruszyła sie i hipla z drugim niedźwiedziem w huścioki,“ zanim Maciek zorientował się, że to nie skała, tylko ogromny niedźwiedź.

Jednym z najzaciętszych niedźwiedziarzy po Sabale, który zabił dziewięć niedźwiedzi, był towarzysz jego wypraw myśliwskich, a mój długoletni przewodnik, Wojtek Bukowski z Pająkówki.

Po zabiciu pierwszego niedźwiedzia tak się w tem polowaniu rozsmakował, że w jesieni tygodniami siedział

w górach, roboty w domu zaniedbywał, aby tylko upatrzeć niedźwiedzia i zabić. A zabił ich sześć, licząc te „co łupić,“ kilka zaś zgniło źle strzelonych, zwłaszcza w początkach jego zawodu myśliwskiego.

Zawzięty i śmiały był to chłop. Niedźwiedź raniony rzucił się na niego, on mu umknął z oczu w las, a potem szedł za nim, aż go dostał.

„Taki żwirz to sie opłaci, za skóre dadzom kielkadziesiąt papirków, becke mięsa sie nasoli i jest co jeść bez zime, haj“.

Raz przyniósł mi kawałek starej niedźwiedziny do skosztowania, ale nie można było tego mięsa jeść, takie było twarde i włókniste.

Za młodu był wielkim awanturnikiem, „rod sie bijoł“, a biją tu dobrze, z początku toporzyskiem, potem obuchem, wreszcie i ostrzem ciupagi — to też nieraz pobili go tak, że leżał jak martwy. Trzeźwili go potem, polewając konewkami wody, i tak czasem mokry, przeleżał całą noc do rana. To też ogłuchł z latami, dostał suchot i trawiony gorączką miewał ciągle pragnienie. W górach mało jadł a pił niezmiernie wiele, z każdego źródła.

Spotkałem go raz, gdy już nie mógł iść w góry. — Żalił się przedemną, że tak go ciągnie, taką ma „mature“ do gór, a tu mu dech zapiera i nie da. W kilka miesięcy potem umarł.

Niewielkiego wzrostu, szczupły, o chudej pociągłej twarzy, okolonej rzadkimi jasnemi bokobrodami i długimi włosami, jak je starzy górale nosili, oczy blisko osadzone, niezmiernie bystre, wzrok jasny, nos orli — wszystko składało się na bardzo interesującą postać.

Gdy mu córki podrosły, brał je z sobą na polowania, nauczył je strzelać, wieczorem gotowały mu strawę, a że silne

dziewki były, więc nosiły capy w torbie na plecach do domu, nie zwracając na siebie uwagi służby leśnej.

Podczas wycieczek, które robiłem z nim, opowiadał mi o swych wyprawach na kozice i przygodach z niedźwiedziami. Pierwszego niedźwiedzia podszedł w roku 1880. Wybrali się wtedy z Wojtkiem Samkiem, wiedzieli bowiem o wielkim niedźwiedziu, który bił statek w Bobrowcu. Do dnia wyszli z domu, w południe Samek znalazł świeże łajno.

„Kwałaz Bogu kie nas... dzisiok, to on ta bedzie ka nie prec,“ mówił.

Usiedli tedy i wypatrywali po zboczach. Pod wieczór dojrzeli go na drugim boku góry, jak wyszedł z młodego zapustu żlebkiem.

„Widziołek co beł corny, a łeb mioł siwom“.

Gdy się zaczął paść, obszedł go Wojtek przez gąszcze od przodu i zaczął się podkradać ku niemu, wtedy dostrzegł, że ma na boku jasne plamy, jak talary.

„Na mój dusiu, to inny niedźwiedź, tamten beł corny i nie w tem żlebku, ba w drugim.“

Gdy go podszedł na strzał, siadł i czekał, aż się przybliży ku niemu. I przyszedł może na dziesięć kroków, a że to było w gęstej świerczynie, widział przez małe okienko tylko „końdek grzybietu“, nie wiedział jednak, „cy je od zadku, cy od karku“. Stary Sabała choć nie kiej radził, co mu nalepi pod przedniom łopatke kie wykroczy, strzelić, wte je nopewniejsy“.

Wyjął więc flintę z tego okienka i założył w drugie, czekając, aż nadejdzie. A że słonko zachodziło, to i wiatr zaczął się zmieniać, „tak i zaleciało go, bo blisko beło, porwoł sie i hipnon w las, haj“.

Żałował, że nie wystrzelił do niego wtedy z obu luf naraz, kulą i lotkami, to możeby go było dobiło „kieby prasnon sobom ze skały dołu“.

Drugie spotkanie miał on cztery lata później. Jakoś przed Wszystkimi Świętymi, wybrali się Sabała, Jasiek Tyrała i on, na grzebanie świstaków. Pod Wielkim Rohaczem zaskoczyła ich kurniawa, wrócili się więc do Chochołowskiej do szałasu.

W nocy śniło się staremu Sabale, że miał mieć uczynek z księżą gospodynią i zbudził się w krytycznej chwili. Pobudził zaraz wszystkich, aby wstawali i szli wypatrywać niedźwiedzia, bo to na niego takie dobre śnisko mu się objawiło. Wojtkowi nabił sam strzelbę kulami, mówiąc:

„Icie chłopcy ku Bobrowcu, jo haw ostanem, stary, nimogem swami wartko lecieć, pudzieme pote ku Zelenemu grzebsć świstoki“.

Poszli więc we dwóch, a że zimno było, mgła przysiadła i nic nie widzieli, wleźli do koleby i rozłożyli ogień, aby się rozgrzać.

Jasiek zapomniał czekanik, zawieszony w szałasie na ścianie, wrócił się więc po niego i po Sabałę — Wojtek zaś, któremu obśniło się, że się z jegomością ks. Stolarczykiem mocował i „prasnon go o ziem“, został.

Tymczasem mgła się rozeszła i Wojtek wypatrzył w Hrubej Grani w Zuberskiej niedźwiedzia, jak się paśł o trzy strzelenia poniżej na bruśnicach. Zaczął go podchodzić, a że płucnik trzeszczał pod nogami, niedźwiedź posłyszał go i zaczął uciekać. Był może o sześćdziesiąt kroków, gdy Wojtek strzelił do niego z jednej lufy w „kupe“, bo nie było czasu dokładnie mierzyć. Ani znać nie było czy trafiony; pogalopował w dół przez młodnik ku grubemu lasowi, a Wojtek jak stał, tak „hipnon“ za nim na złamanie karku, „bo bars śtyrbno belo“ i znalazł się na małej płasience pierwej niż niedźwiedź, a ten już jechał prosto na niego. Strzelił, prawie nie mierząc, „na półtora siąga — kopyrtnom sie od razu“.

Spory był niedźwiedź, bo jak go chciał obrócić, „coby bebechy śniego wypuścić i d...ny flak obciąć“, to go nie mógł ruszyć. Oparty był o dwa świerki, które, gdyby się złamały, toby się stoczył do doliny Zuberskiej, skądby było znacznie dalej nieść go do domu. Był bardzo tłusty, skóra i mięso ważyły półtora centnara.

Pierwsza kula złamała żebro, przebiła płuca i wyszła z drugiej strony komory, druga trafiła na sztych w piersi, a wyszła „bez bańdzioch“.

Chytry Wojtek zostawił niedźwiedzia niewypatroszonego, wrócił do koleby i czekał na towarzyszy, przed którymi nie przyznał się co zaszło. Zaczął stękać że chory i namawiać ich do powrotu, bo tu niema co robić, „straśnie mnie wnuku boli, podźmy sitka dudomu“.

Pomimo, że zabrali żywności na kilka dni, dali się namówić i wrócili, Wojtek zaś pobiegł do szwagra swego Józka Halcarza, zamówił coś pięć bab z putniami niby na bruśnice, aby zabrały mięso do domu. Sam zaś wrócił się w Chochołowską na noc i czekał na szwagra.

Przesądny wielce jak każdy strzelec i wierzący w „śnisko“, opowiadał, że wtedy „obśniło mu się“ co babe obłąpił ręką, a dziwce stało z boku i patrzyło“. Myślał co to może znaczyć: „to jakiesi niedobre śnisko“.

Nad ranem przyszedł szwagier sam i poszli na Przełęcz Bobrowiecką zamiast ku zabitemu niedźwiedziowi, bo mu to śnisko nie dało spokoju. Z przełęczą wypatrzył coś ciemnego na przeciwległym zboczach, lecz że był jeszcze mrok, nie mógł rozeznaczyć. Naciągnął więc „lurnię“ i poznał niedźwiedzia o jakie półtora kilometra od nich.

„Ostańciez szwagier haw i wypatrujcie ka pudzie, jo go idem kraść“.

Pobiegł żlebami i zaszedł go z góry może na trzydzieści kroków. Łeb miał zwrócony ku niemu, a że

strzelba rozrzuciła, czekał, aż się bokiem obrócił ku niemu i strzelił wtedy grubemi lotkami z obu luf naraz. Po strzale ogromny dym zasłonił wszystko, ścieląc się po obfitej rannej rosie — wyskoczył zatem z tego dymu i widział, jak niedźwiedź biegł po zboczy. Wojtek skoczył za nim, niedźwiedź stanął, Wojtek także i skrył się „za maluśkiego smrecoska, żeby nabić flinte“. Szuka różka z prochem w torbie i nie może znaleźć, wypadł mu widać na przełęczy gdy się z cuchy rozbierał.

Chcąc się przekonać czy z obu luf wypaliło, odwiódł kurek, niedźwiedź trzask usłyszał, dojrzał strzelca, dźwignął się na zadnie łapy, ryknął i rzucił się na niego. Wojtek wyskoczył z poza smreczka, machnął pustą strzelbą ku niedźwiedziowi i w nogi do chuściaków. Byłby go niedźwiedź może i dosięgnął łapą, lecz widocznie osłabiony, skoczył ze trzy razy ku niemu i pobiegł w dół ku lasowi. Patrzył za nim Wojtek z gronki, jak uszedł około kilometra i obiegł w młodych smreczkach.

Tymczasem nadszedł szwagier, który przyniósł Wojtkowi wody w kapeluszu, aby się po tych wzruszeniach odświeżył; znalazł się także różek z prochem, pozostawiony na przełęczy. Kul jednak, ani lotek więcej nie miał, nabił więc strzelbę śrutem i poszli obaj za postrzelonym niedźwiedziem. Że jednak w tych smreczkach gałęzie były do ziemi, więc trzeba było iść na czworakach, aby wypatrzeć rannego zwierza.

„Iciez śwagier ciho i trzymojcie sie zadku, coby wos nie uwidzioł, boby wos zabieł do cista, a flinty nimocie“.

Doczołgali się tak do płasienki, skąd wypadł na nich niedźwiedź.

„Hipnem w bok, strzelem roz, hipnem znowa i strzelem do drugiego boku i straciłek sie w huściokach. Słuhom, strześnie burzy w lesie, łomie smrecki, co raty“.

Szwagier się także gdzieś zapodział — odnaleźli się wreszcie, zapalili fajki i słuchali, jak łamał świerki. Za jakie pół godziny zrobiło się cicho, Wojtek zabrał się do nabijania strzelby, szuka kapsli w torbie — niema. Poszli oba w to miejsce skąd łamanie słyszeli, lecz niedźwiedzia tam nie było, tylko dużo juchy i moc nałamanych świerków.

Za farbą przeszli przez wodę i o sto kroków zobaczyli niedźwiedzia, tarzającego się na grzbiecie jak koń. Wstał, otrząsnął kudły, zobaczył Halcarza na skale i zaczął biedzku niemu, Wojtka zaś, będącego blisko niego, nie widział. Ten krzyknął na szwagra aby się schował i sam uciekł w krzaki. Niedźwiedź wrócił się w to miejsce, gdzie się tarzał i położył się.

Wojtek proponował szwagrowi, aby mu przypalił zapalką „cyfke u flinty“, gdy on będzie mierzył do niedźwiedzia, lecz ten nie chciał o tem ani słyszeć.

Tak więc czekali, aż się przestał ruszać. Przyszedł Wojtek ku niemu, patrzy, leży — „Prasnon skałą, poruszyło go; prasnon drugom, nic; siadł na niego jak na konia, pocie śwagier, bo zdek“.

Większy był od pierwszego, lecz o pięćdziesiąt funtów mniej ważył, bo był jakiś zbiedzony, prawdopodobnie przez kogoś strzelany. Suknię miał czarną, bardzo piękną i tak wielką, że przewieszona przez łóżko wzdłuż, dotykała podłogi nosem z jednej strony, a pazurami tylnych łap z drugiej.

Obielili obydwu niedźwiedzie na miejscu, z pierwszego już kudły oblażyły na brzuchu, bo był długo niepatroszony. Mięso poćwiartowane poznosiły baby do Chochołowskiej Doliny, gdzie upytał Wojtek chłopca, który przyjechał po drzewo do lasu i ten mu zawiózł wszystko do Kościelisk na Pająkówkę. Nasolili dwie beczki mięsa, mieli więc co jeść przez całą zimę.

Później zabił on z Michałem Sawickim z Blachówki niewielkiego niedźwiedzia w Zuberskiej, pod Siwemi Skalami.

Że niektórzy górale, polując, biorą z sobą dziewczki, o tem miałem sposobność naocznie się przekonać. Mając w roku 1907. pozwolenie od leśniczego dóbr orawskich zapolowania na niedźwiedzia, pod warunkiem oddania skóry, a tylko zatrzymania czaszki i pazurów, wybrałem się z leśnym tamtejszym do Bobrowca. W drodze spotkaliśmy dwóch górali z Kościelisk, którzy nam coś o niedźwiedziu wspominali, że go mieli widzieć. Dziwnie podejrzaniem mi się to wydawało — czego oni tam szukali, gdzie nie mieli po coś chodzić; — chyba polowali na sarny, a strzelby pochowali w lesie.

Wyszliśmy już dobrze pod wieczór na polankę pod przełęczą, gdzie były resztki szałasów zawałonych przez śnieg, wtem zobaczył leśny, na tle wieczornej zorzy, ciemną sylwetkę górala i szepnął: kłusownik! Dojrzałem go przez lornetkę, a przy nim babę. Buszowali między świerkami i wyraźnie czegoś szukali. Leśny okrążył ich, aby zabiedz drogę, oni tymczasem zbliżyli się do mnie na kilka kroków i dopiero, gdy wyszedłem z ukrycia, skoczyli w gąszcz i uciekli. Był to Jędrzej Stopka Mocarny z Polan ze swoją córką, tęgą dziewczką, która mogłaby unieść najtęższego capa

Dopiero na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że w tym miejscu postrzelił Wojtek Nazim poprzedniego dnia niedźwiedzia, a tych dwoje przyszło go szukać. Znalezione go później niedaleko od tego miejsca, ale już zgniłego.

Czasem się uda i niezbyt dobremu strzelcowi zabić niedźwiedzia, czego dowodem następujące zdarzenie.

Wojtek z Pająkówki ze Stopką Faktorem i Jaśkiem Bukowskim Zwysnim poszli pod Rohacze, po drodze posłali Jaśka, aby zajrzał do Kulowca, czy tam niema niedźwiedzia i aby dał znać o tem. Ten poszedł i gdy prze-

patrywał z boczna, wyszedł na niego z gęstwiny niedźwiadek i otrzepywał mokre kudły jak pies, było to bowiem po deszczu. Strzelił do niego z pojedynki lotkami na kilka kroków i zabił na miejscu.

Ucieszony pobiegł do towarzyszy oznajmić że jest niedźwiedź, ale już zabity. Obielili go zaraz, upiekli wątrobę na patyku, natopili w kotliku sadła, a Wojtek, który rad się leczył na zapas przy każdej sposobności, opił się tyle tego sadła, że o mało nie umarł. Opowiadał mi to Jasiek Zwyśni, przed dwudziestu laty.

Koziarze lubią brać ze sobą tęgich chłopów do dźwigania torby, choćby nawet nie strzelców, a takich chętnych zawsze znajdują, bo to honor ze strzelcem chodzić, a i pożywić się można godnie. Z nich wyrabiają się też zwykle strzelcy.

Jednym z takich był stary Karpień Sobczyk, chłop wielki, kościsty, który mógłby sam niedźwiedzia unieść. On opowiedział mi jeszcze w roku 1887 następujące zdarzenie.

Wybrało się ich czterech pod Rohacze. Karpień dostrzegł na zrębie niedźwiedzie, które podchodził, lecz bezskutecznie, gdyż go zwietrzyły i uciekły, pomrukując z przestachu. Nie przyznał się jednak przed towarzyszami do tego co widział, — a nadchodząca słota zmusiła ich do powrotu do domu.

W kilka dni potem wybierał się Wojtek z Pająkówki do Bobrowca i dał znać Karpielowi, aby się zbierał, gdyż on idzie na noc. Poszedł, a za nim pobiegł Karpień i przyszli przed świtaniem pod Bobrowiec. Mróz był tęgi, rozłożyli więc gdzieś w kącie mały ogień ze sucharzy, aby się ogrzać, zapalili fajki i gwarzyli trochę. Karpień wybiegł na przełęcz, aby się rozglądnać, dojrzał przy zmroku jakiś ciemny punkt i po kilkakrotnem zwróceniu w to miejsce wzroku,

poznał że zmienia położenie, sądził zatem, że to będzie niedźwiedź.

Naradzali się obaj skąd go podchodzić — przed wschodem słońca wiatr wieje z góry, co zresztą widać było po parze oddechu. Skradając się pod wiatr, podeszli go może na sto kroków, aż do skałki, za którą się skryli, bo dalej już nie było za co się schować.

„Ty Wojtek siedź tu i nie ukazuj się, a ja jemu pudem go dalej kraść“.

„Kas pudzies, na prawo i lewo wykroty, to bees trzescoł gałęziami!“

„Pudem bez skałke prosto ku niemu“.

I zrzuciwszy kapelusz i torbę, wzięwszy w rękę pojedynkę nabitą kulą i lotkami, zaczął się skradać powoli, uważając pilnie na ruchy zwierza, który się pał na bruśnicach, jednak co chwila się oglądał — wodził nawet oczami po strzelcu, który wtedy przycupnął i nawet okiem nie mrugnął — a mając na sobie starą, brudną i przywędzoną przy ogniskach cuchę, doskonale dostrajał się kolorem do otoczenia.

Doczołgawszy się na odległość kroków może trzydziestu, schował się za pniak, przygotował flintę do strzału i oglądnał się za towarzyszem, który mu dawał znaki, aby jeszcze nie strzelał, bo zadaleko. Myśląc tedy, że niedźwiedź pasąc przybliży się ku niemu, czekał chwilę, lecz ten raczej oddalał się. Wtedy nie czekając dłużej, gdy ten obrócił się bokiem i łeb miał schowany za pniak, wypalił pod łopatkę.

Niedźwiedź ryknął, obrócił się w skoku, siadł na zadzie jak pies i cupiąc przednimi łapami, zjechał do parowu i w oka mgnieniu był na przeciwległym zboczcu góry, gdzie zniknął w gąszczu.

Karpiel chciał zaraz biedz za nim, Wojtek jednak wyskoczył z poza skały, podał mu swą pojedynkę, a tamtą

wziął do nabicia. Porwawszy flintę biegł za nim, pilnie upatrując farby, gdyż na suchym mchu tropu znać nie było. Jakoż znalazł farbę, miejscami nawet i kawałki zsiadłej juchy — czasem tracił ślad, bo czerwone listki borowiny łudzają do farby podobne.

Tak doszedł niedźwiedzia w lesie dość blisko. Siedział między wykrotami, przeciągał się, to znów przewracał, widocznie ciężko raniony. Dostrzegłszy strzelca, często ku niemu spoglądał. Ten wylażł na wykrot i czekał, pewnym będąc swego łupu, wiedział, że zginąć musi. W końcu sprzykrzywszy sobie to czekanie, chciał mu koniec położyć i strzelił w prawy bok zwierza. Ale tym strzałem z lichej strzelby podrażnił tylko niedźwiedzia, który z rykiem rzucił się na niego.

Przytomny góral naprzód obmyślił gdzie uciekać — skoczył w górę w las i zniknął mu z oczu. Nabijał co rychlej strzelbę, lecz nie mógł włożyć swojej kuli do lufy miejszego kalibru; obcinał ją nożem, lecz to szło powoli, odbiegł więc w bok i gwizdnął na towarzysza, aby mu podał jego strzelbę. Wrócili się obaj na miejsce strzału, lecz niedźwiedzia tam już nie było; między wykrotami zobaczyli wierzch jego głowy — stoczył się w jamę pod wykrot i tam został.

Ważył podobno pięć centnarów.

Do strzelców, mających częste spotkania z niedźwiedziami, należą bracia Jasiek i Kuba Tyrałowie, a zwłaszcza starszy z nich Jasiek. Chodzą oni zawsze razem, młodszy ustępuje często strzału starszemu, jako lepszemu strzelcowi. Jasiek nierad opowiada o swoich przygodach myśliwskich, chyba o bardzo dawnych, nie chce bowiem zdradzić swych towarzyszy, Kuba zaś rozpowiada chętnie, zwłaszcza, gdy zagładnie głębiej do szklanki.

Jednego roku na wiosnę, widzieli oni poniżej Czer-

wonych Wierchów na stronie liptowskiej niedźwiedzie z trzema piastunami, które widocznie niedawno przyszły na świat, były bowiem wielkości świstaka. Stara pasła się po trawach, a młode łąziły za nią. Gdy się położyła, podeszli ją z góry na 150 kroków, lecz dojrzała ich ponad kosówkę i uciekła. Młode pobiegły za nią, a że nie mogły nadążyć, więc stawała co chwilę i czekała na nie.

Byli oni obaj z wyżej wspomnianym Karpielem w roku 1897. w Banistem, za kozami. Karpiel miał obejść pasącego się capa i pogonić na nich. Nim ten jednakże zdążył go obejść, cap pomknął spłoszony przez niedźwiedzie, które zerując, zbliżyły się ku niemu.

Było ich cztery, dwa młode już dosyć duże, jeden średni, a jeden bardzo wielki. Młode igrały z sobą, mocowały się, potem wspinały się na dwa osobno stojące świerki do wysokości może pięciu metrów i spoglądały ku sobie, przekrzywiając łby.

Obydwaj bracia zaczęli podchodzić. Jasiek był bliżej i podszedł leżącego największego niedźwiedzia, literalnie na kilka kroków, kryjąc się poza skałkę. Ten podniósł łeb, spojrział złemi oczyma na strzelca, który szybko się złożył, wymierzył za ucho i pociągnął za oba cyngle. Jedna lufa nie wypaliła, z drugiej kapsla spaliła, a dopiero po chwili buchnął strzał. Niedźwiedź zaryczał, skoczył na cztery łapy, patrząc groźnie, a reszta niedźwiedzi zbiegła się ku niemu.

Jasiek już Panu Bogu grzeszną duszę polecał, lecz niedźwiedzie pomknęły razem w las.

„No kie mie juz wte nie zjadły, to sie ik nimas co boć“, mówił.

Drugie zdarzenie mieli w temsamem miejscu i zdaje się w tym samym roku. Poszli w Kopy z Suleją i Białym Krzeptowskim. Mróz był dobry, pod Śpaną przenocowali

w szopie, a rano Tyrałowie poszli w Baniste, gdzie Jasiek zabił sarnę, którą zaraz wypatroszyli. Wtem zobaczyli idące ku nim trzy niedźwiedzie, dwa młodnikiem, a jeden żlebkiem. Za chwilę i ten zwrócił się do gąszczu, Jasiek zaczął podchodzić ku niemu, tymczasem niedźwiedź wyszedł z krzaków, siadł i fukał, jak to one nieraz robią. Pasąc się, przyszedł blisko do Tyrały, który strzelił w bok z obu łuf, kulą i dwoma półkulkami.

Niedźwiedź ryknął, przewrócił się przez wykrot i stulał się na dół. Poszli za tropem, farbował z przeciwnego boku, widocznie przestrelony na wylot i rzygał borówkami. Szukali go czas jakiś, lecz nie znaleźli, a bojąc się lip-towskich leśnych, poszli do domu.

W jakiś czas później, gdy przechodzili tamtędy, poczuli padlinę tego niedźwiedzia — poszedł on w dół ku potokowi i tam zginął, podczas, gdy oni szukali go w górze.

Podobnie się stało w Ciemnych Smreczynach, gdzie byli z Wojtkiem Bukowskim Palarzem, na kozy. Jasiek zabił rano capa, kazał Palarzowi zanieść go pod Kopę i schować, a oni tymczasem dalej polowali. Percią z lasu wyszedł niedźwiedź, którego Jasiek podszedł dość blisko i strzelił na pośeć. Ryknął, padł odrazu i stoczył się w dół.

Kuba ucieszony zawołał: „wis go, hań leży, ani sie nie ruso“.

Gdy podeszli ku niemu, zamiast niedźwiedzia leżał pniak, ten zaś przepadł, jak kamień w wodzie.

Po tem zdarzeniu zabili jeszcze dwa capy, każdy z nich miał więc co nieść do domu.

Już to zbytnej cierpliwości i dokładności w tropieniu postrzelonej zwierzyny nie okazują tutejsi górale. Można to chyba tylko tem wytłumaczyć, że po strzale starają się co rychlej zniknąć z miejsca, aby uniknąć spotkania z leśnymi,

zwabionymi hukiem. W górach bowiem nie można wiedzieć, gdzie się taki przyczai i na zdradzie stoi.

Pierwszego niedźwiedzia dostali Tyrałowie w maju r. 1904 w Rycyrowem. Wybrali się wtedy na głuszce. Około czwartej popołudniu zaczął padać deszcz, schronili się pod starego świerka, którego gałęzie prawie do ziemi sięgały i czekali, „cy tyz ta nie wyńdzie jaki rogoć“. Posiedzieli chwilę, Kuba mający lepszy słuch „posłysoł — jak cosi skałkom zburzyło“. I dojrzał przez gałęzie coś czarnego. Sądził, że cap zeszedł z turni, po chwili jednak poznał niedźwiedzia, który szedł wprost ku nim.

Przypuścili go na piętnaście kroków i wystrzelili jak na komendę każdy z obu luf. Po strzałach dym jak chmura zasłonił wszystko, Kuba wyskoczył z tego dymu i woła: „lezy, hyboj ku niemu“. Jasek woła: stój! „Dopiero bach w niego skała, cy sie nie ruso“. Wtedy przyszli ku niemu, „a to wielgo potwora, a widziało sie co je mały, jako psik“.

Stary był, bo miał kły dolne starte i jeden ząb przedni brakował. Wszystkie cztery strzały poszły jak jeden i złamały łopatkę. Zaraz go wypatroszyli, porozpinali patykami „bańdzioch“, aby zimno w niego weszło. Żołądek miał czysty jak wyplukany i tylko garstka zielonej trawy w nim była, jelita próżne i chudy był niezwyčajnie. W jesieni mógłby ważyć pięć centnarów.

Przenocowali przy ogniu, rano zdjęli z niego skórę, pozostawiwszy przy niej kości, bo postanowili go sprzedać do Muzeum tatrzańkiego do wypchania, co też uczynili, otrzymawszy za niego 80 koron. Wykroili mięso co lepsze, nabili torby godnie, każdy z nich miał co nieść, może po centnarze albo i więcej — ale to niósł chętnie. Mięsa ludziom nie żalowali, „bo niektóry myśli, ze niedźwiedz to taki wielgi jak wół i takie dobre miso śnigo—ono ta dobre ino ze kwarde, niechze sie ta najedzom“.

W roku, zdaje mi się 1909, w tym czasie, kiedy spadł balon w Jarzabczej, szli obaj Tyrałowie i Józek Dziaduś z Kościelisk, przez Kopę, do Kończystego. Zbierali po drodze bruśnice, Jasiek szedł przodem i zobaczyli niedźwiedzia, jak się schował w smereczki. Zwołał towarzyszy i chciał nabić strzelbę kulą, lecz ta była za wielka i nie zmieściła się w wylocie lufy, Kuba zaś nie chciał dać mu początkowo swej lankastrówki. Dziaduś tymczasem już się podkradł. Otrzymał wreszcie strzelbę, dobiegł Jasiek Dziadusia i szedł tuż za nim. Ten znacznie wyższy, zasłaniał mu widok, Jasiek widział jak Dziaduś złożył się i strzelił dwa razy, a w powietrze wyleciał mech wydarty pazurami uciekającego niedźwiedzia. Dojrzał go i Jasiek, strzelił i trafił w grzbiet.

Niedźwiedź pocwałował na oślep w dół, uderzył sobą w pniak spróchniały i wyrwał go. Jasiek podał Dziadusiowi swoją strzelbę, której jedna lufa była jeszcze nabita i poszli za nim. Doszli go w lesie, stał zwrócony ku nim, jakby czekał na śmierć. Dziaduś strzelił mu w łeb, wtedy padł do „jaferu“. Była to samica, dość wielka, o czarnem futrze. Skórę kupił znany myśliwy z Krakowa p. L. za sto koron. Pieniądzmi podzielili się równo wszyscy trzej; sadła wypadło po 13-cie funtów na każdego.

Wracając z łupem do domu, znaleźli wtedy balon po drodze i jak wieść niesie, splądrowali go.

Jednego niedźwiedzia zabił w roku 1912. w maju Staszek Stopka Marcinów. Poszedł z Wojtkiem Nazimem i Jaśkiem Tyrałą na Jamiska, przy Osobitej, na głuszce. Z Kiczory wypatrzyli na Kuchni pod Osobitą niedźwiedzia. Stopka i Nazim, jako młodszy i zdolniejszy w nogach, polecili go kraść, jako, że śpieszyć się trzeba było pod wieczór. Tyrała zaś, mając szósty krzyżyk na karku, nie mógł „podoleć tak wartko biegać“ i został na Kiczorze.

Stopka, z karabinem manlicherowskim w ręku, podbiegł go na 120 kroków.

„Ze dy strzylojze wartko, bo hipnie w huścioki“ szeptał mu Nazim.

„Pockojze, niechze się wydyhom, dogoniłek sie, tobyk go nie trefił.

Oparł karabin na korzeniu wykrota, dychał jeszcze długo, wreszcie strzelił. Niedźwiedź zaczął uciekać, a oni strzelali za nim jeszcze sześć razy bez skutku. W lesie doszli go, stał i chrapał ciężko „sipiał“ — Stopka ósmym strzałem w łeb położył go ostatecznie.

Trafiony był tylko pierwszą kulą w tchawicę „płucnom zyte“. Posoka zalewała krtąń i stąd chrapanie. Był to prawdopodobnie ten niedźwiedź, który w ostatnich latach bił woły na Orawie, gdyż od tego czasu te rozboje ustały. Skórę kupiono do wypchania dla gimnazjum nowotarskiego za 160 koron.

Leśny z Kościelisk, Marusarz, był w dolinie Jaworowej na Liptowie, gdzie mu juhasi opowiadali, iż na wiosnę w roku 1913 znaleźli niedźwiedzia zgnitego, którego ktoś zabił w jesieni i nie znalazł. W czerwcu zaś tego samego roku, gdy spadł obfity śnieg w górach, znaleźli drugiego niedźwiedzia niezbyt wielkiego, jeszcze świeżego, który prawdopodobnie zesunął się po młodym śniegu z turni i zabił się. Mięso z niego zjedli juhasi.

W dniu, kiedy mi to Marusarz opowiadał, byliśmy na Pysznej — i słyszeliśmy kilkakrotne strzały, jak nam się zdawało w dolinie Raczkowej. W kilka dni później spotkałem Jaśka Tyrałę, który mówił, że widział w Jamnickiej dolinie zabitego w tych dniach niedźwiedzia. Niewiele chciał o tem mówić, może obawiał się świadka, który był przy nas. Później dopiero dowiedziałem się od niego i innych, jak się rzecz miała.

Byli we trzech w Jarzabczej, Jasiek Tyrała z synem i Staszek Stopka Mocarny, o jednym oku. Rano, gdy wyruszyli z szałas, wyszedł z lasu wprost na nich niedźwiedź, do którego strzelił Stopka z krótkiego karabina werndlowskiego. Niedźwiedź stoczył się do żlebu i został na miejscu. Kula przeszła na ukos „bez te żyły od serca“, drasnęła szczyty płuc i wyszła koło karku.

Jasiek ocenił jego wagę na „meter“. Za skórę, która jest o dobrym włosie, bura, z obrączką na szyi, dostali 120 koron, od p. G.

Niedźwiedź ten miał u przedniej łapy ucięte palce aż po piętękę, rana była zupełnie zagojona a łapa tak skrzywiona, że idąc, opierał się na wierzchniej jej stronie. Widocznie złapał się w oklepiec i szamocąc się wyrwał łapę, a palce zostawił w żelazie, które bywa wielkich rozmiarów i wagi do 50 klg., jak to miałem sposobność przekonać się naocznie pod Krywaniem.

Oprócz tego niedźwiedzia, zabili w tym dniu jeszcze dwie sarny.

* * *

Orawianie zabili w ostatnich dziesięciu latach, o ile mi wiadomo, trzy niedźwiedzie.

Jednego zabili leśni z Orawic, na owsie. Wypatrzyli którądy ten chodził, zasiedli na noc na powrotnej drodze, strzelili razem i został. Drugiego zabił podobno leśny z Brestowej, a trzeciego zabito podczas polowania na dziki.

Na Orawie więcej niedźwiedzi się spotyka, jednak mniej ich tam strzelają. Słowacy nie mają tego sprytu, ani takiej żyłki myśliwskiej, jak nasi górale, którzy są odważniejsi i chciwi na zwierzynę.

Gdy pytałem Wojtka z Pająkówki czy się nie bał niedźwiedzia, odrzekł: „Ba jakoz? Bołek sie coby mi nie uciuk“.

Chciwość przeważa u nich we wszystkim, ona jest wybitną ich cechą. Jednak, gdy idą razem na kozice, dzielą się zawsze z sobą zdobyczą na równi, czy który zabił, czy nie. To ich wspólna zdobycz, poszli wraz, więc każdemu z nich jego część przypada.

Jeżeli który z nich ukryje co przed towarzyszami, uważają go za „niehonorowego“ strzelca — taki już więcej nic nie zabije, dopóki towarzyszków nie przejedna. Wojtkowi z Pa-
jąkówki, Sabała do końca życia nie mógł zapomnieć, że będąc z nim, nie przyznał się, iż zabił niedźwiedzia. On się przyznał, ale wtedy dopiero, gdy już miał niedźwiedzie nasolone w beczce, — ale go jednak ukarało, gdyż skóra pierwszego z nich, tego właśnie, którego zataił i który leżał trzy dni niewypatroszony, oblaża z futra.

Sabała przed laty sam podobną sztuczkę urządził, gdy polowali urzędnicy zarządu dóbr zakopańskich, wspólnie z Węgami. Zabił wtedy niedźwiedzia na węgierskiej stronie, nie przyznał się jednak do tego Węgrom, powiedział że uciekł i wspólnie z naszymi góralami spuścił go do śniegu na polską stronę, ale, niestety, śnieg zdradził tajemnicę i od tego czasu Węgrzy nie chcieli więcej wspólnych polowań z naszymi.

Nie zdarza się jednak, aby jeden strzelec przed drugim sarnę lub kozicę zataił, bo tych jest dosyć w lesie, ale niedźwiedzia to co innego; to może tak wielki „niehonor“ nie jest.

Narzekają strzelcy, że ich już mniej w Tatrach jako drzewiej bywało, ale inaczej być nie może, różne są bowiem tego powody. Naprzód ruch w górach zwiększa się z każdym rokiem w lecie i w zimie także. Pobudowano nowe drogi do gór. W miejscach od wieków niedostępnych, gdzie drzewo chyba wiatr halny ścinał, robią się wyręby,

bo dzisiaj można go zwieźć wygodnie, a zwierz taki lubi spokój.

Kłusowników coraz więcej przybywa, jaki taki, spotkawszy niedźwiedzia, nie może się wstrzymać, aby nie strzelić do niego lotkami czy śrutem, nie mając czasu zmienić nabicia, wiele więc zwierza ginie marnie.

O ile mogłem się przekonać, to przeważna część zabitych tutaj niedźwiedzi była samicami; — nie wiem, czy to przypadek, czy też powód w tem, że samice są mniej ostrożne i łatwiejsze do podejścia, ale tak jest. Stąd też mniejszy przyrost, a i postrzelone niedźwiedzice na pewno nie będą miały w tym roku młodych.

I tak zwierz ten skazany jest na powolną zagładę. Czy jest na to jaka rada? Przeprowadzenie ustawy o ochronie niedźwiedzi nie dużo pomoże, jak bowiem wykazałem, niewiele ich ginie u nas z rąk uprawnionych do polowania myśliwych, lecz raczej z rąk kłusowników, a na tych żadne ustawy nie pomogą, tem bardziej, że grasują oni przeważnie po stronie węgierskiej, gdzie ich nie bardzo ścigają, gdyż się ich poprostu boją.

Pomoże tu tylko dokładne strzeżenie rewirów wszystkich właścicieli bez wyjątku, a więc i Węgrów, przez dobrze zorganizowaną straż łowiecką, działającą w porozumieniu, która będzie miała przyręczone wysokie nagrody za ujęcie kłusownika.

Gdyby się dało urządzić w Tatrach teren ochronny na wzór amerykański, byłby to jedyny sposób ochrony niedźwiedzi i kozic. Nasze polskie Tatry są jednak za małe na to, aby część ich można było zamknąć. — Coraz więcej rozwijający się ruch turystyczny, oraz mnóstwo służebności i posiadłości chłopskich w górach, stoją temu na przeszkodzie. Część węgierska Tatr, lepiej nadaje się do tego położeniem i rozległością dolin. Czy do tego jednak przyjdzie

kiedy — nie wiadomo — my za biedni jesteśmy na to. Na razie róbmy to co w naszej mocy, aby tego pięknego zwierza nieuprawnione ręce bezmyślnie nie tępiły.

Ponieważ, o ile mi wiadomo, nikt dotychczas nie poruszał stosunków łowieckich dotyczących niedźwiedzi w Tatrach, przeto odważyłem się na to, podałem garść osobistych wspomnień i opowiadań słyszanych w różnych czasach i od różnych ludzi, z których wielu już nie żyje, — w nadziei, że może one zainteresują myśliwych. Sądziłem, że podanie do szerszej wiadomości tych opowiadań myśliwskich, zwłaszcza dawniejszych górali, jest rzeczą słuszną i konieczną, stosunki bowiem zmieniają się jak i ludzie, a typ dawnego strzelca górala, może wart wspomnienia.

Zakopane, 1914.



Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 2051



1000000000344